MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVI. Nr. 36 | WARSZAWA, 30 SIERPNIA 1936 R. | CENA NUMERU 80 GR.

O POLSKOŚCI I JEJ OBECNEM KALECTWIE

I

DO OBJAWÓW codziennych należy używanie nazw bez zdawania sobie sprawy z istoty ich treści.

Do tegoż rodzaju objawów należy zaliczyć posiłkowanie się przez nas słowem — polskość.

O polskości mówi się zazwyczaj, że jest to zbiór (kompleks) swoistych właściwości żywiołu polskiego, uzewnętrzniających się we wszystkich dziedzinach jego życia, które go różnią i muszą różnić od innych gatunków rodzaju ludzkiego.

Zachodzi jednak wątpliwość, czy można i należy wszystkie obecnie uzewnętrzniające się właściwości żywiołu polskiego uznać za wyraz jego duszy i jego jaźni, a więc istotne dla niego?

Jest nie mało powodów, które wywołują tę wątpliwość. Zwrócę uwagę tylko na trzy z nich.

Przedewszystkiem długie współżycie — w ciągu kilku wieków — z żydostwem, nietylko zainteresowanem w świadomem zatruwaniu wszystkich komórek życia społeczeństw rdzennych, ale i wynaturzonem duchowo przez nienaturalny byt w rozproszeniu, a więc zakażającem nawet mimowoli swoją chorobliwą duchowością te społeczeństwa. Żywioł polski nie mógł nie ulec temu zgubnemu wpływowi, tem więcej, że ziemie polskie stanowią obszar masowego skupienia żywiołu żydowskiego. Ten najazd żydowski jest to początek utraty zwierzchnictwa polskiego, czyli właściwie pierwszy — niedostrzegalny dla wielu — rozbiór Polski, a więc i początek załamywania się istotnych, swoistych duchowych właściwości żywiołu polskiego — wstęp do późniejszych rozbiorów, już oczywistych dla każdego.

Następnie byt w ramach trzech obcych państwowości w ciągu kilku pokoleń — a mianowicie: austrjackiej, niemieckiej, a raczej pruskiej i rosyjskiej. Pozostawmy już na uboczu złe strony, wynikłe z wpływu żydowskiego na charakter narodów-gospodarzy w każdem z owych trzech państw. Ten byt w tych obcych ramach musiał wywrzeć wpływ na kształtowanie się psychiki żywiołu polskiego, a więc na rozwój pewnych właściwości duchowych, odmiennych dla każdego zaboru, czyli nieistotnych dla żywiołu polskiego jako całości.

Nie chodzi w danem miejscu o szczegóły tej odmienności duchowej na tem tle, chodzi o podkreślenie samego faktu istnienia tej odmienności, oczywistej dla każdego, kto obserwuje i chce obserwować życie polskie.

Wreszcie trzecia okoliczność, mianowicie stała rozbieżność poglądów pewnych odłamów społeczeństwa polskiego na najważniejsze zagadnienia przyszłego ukształtowania jego życia jako całości. Chodzi, ma się rozumieć, głównie o przewodników tych poszczególnych grup, bo oni prowadzą za sobą owe grupy, stanowiące w swej masie, jak to zresztą stale bywa, element mniej lub więcej bierny.

Gdyby ci przewodnicy pod względem duchowym stanowili wytwór swojski, to zaledwie w poglądach na sprawy drugorzędne, nie istotne, mogliby się różnić między sobą. Natomiast w sprawach zasadniczych, w okresach przełomowych dla żywiołu polskiego, musieliby wydobyć z siebie ten wspólny trzon duchowy, tę swojskość, a zatem pewną jednolitość myśli, a więc i czynów. Tej jednolitości w chwili obecnej często niema, a jest natomiast rozbieżność.

Że ta rozbieżność jest wynikiem obcego wpływu, na to wskazują dwa charakterystyczne jej objawy: jeden z tych dwu wrogich sobie obozów — społeczeństwo polskie bowiem w takich ważniejszych dla siebie chwilach czy okresach dzieli się zazwyczaj w końcu na dwa takie obozy—ma silny dopływ ludzi, oficjalnie Polaków, ale związanych z żydostwem bądź przez swoje pochodzenie, bądź przez śluby mieszane i powinowactwo. Pozatem, ten właśnie ostatni obóz skłania się stale ku takiemu punktowi widzenia i takiemu postępowaniu, które znajdują uznanie u żywiołu żydowskiego. Uznanie częstokroć — ze względów zrozumiałych — maskowane, ale, w każdym razie, uznanie, wskazujące pośrednio, który z tych obozów bliższy jest chęciom i potrzebom żywiołu żydowskiego, a więc jego dobra, a który jest dalszy, czyli, który z nich więcej uległ wpływom kultury żydowskiej, a który mniej. Że one oba uległy temu wpływowi, na to wskazują już poprzednie stwierdzenia, zresztą, stanie się ten fakt oczywisty z dalszej treści.

A zatem, jeżeli uwzględni się tylko trzy wymienione wyżej okoliczności, dotychczasowe warunki rozwoju społeczności polskiej nie dają możności ustalenia, jakie są istotne właściwości żywiołu polskiego, a w związku z tem nie dają praktycznej odpowiedzi na pytanie — co to jest polskość.

Powstaje przeto konieczność teoretycznego wyjaśnienia sobie tego pojęcia, bo tylko wówczas będzie można zdać sobie sprawę jakiemi cechami, jakiemi właściwościami winien odznaczać się żywioł polski w swojem codziennem życiu i w jakiej mierze obecnie istniejące właściwości żywiołu polskiego stanowią wyraz wynaturzenia, schorzałości, kalectwa jego organizmu społecznego.

Dla przykładu można wziąć przejawy polskości w obecnych miastach na ziemiach r d z e n n i e polskich—o ten obszar w danem miejscu umyślnie chodzić musi.

Czy ktokolwiek odważy się twierdzić, że obecne miasta na tych ziemiach są polskie bez ujęcia słowa—polskie—w cudzysłowie?

Bo, przecież chodzi nie tylko o skład ludnościowy. Chodzi również o ich odpowiednie rozmieszczenie w kraju; o ich wygląd zewnętrzny; o styl ich budowli; o charakter budowli, odpowiadający najpilniejszym potrzebom największych mas polskich; o wykres ich ulic, o ich upiększenie właściwe it.d it.d, czyli o swój wytwór, o wytwór ducha swojskiego, a nie obcego, czyli o taki wytwór, który odpowiada chęciom i potrzebom polskiego żywiołu.

A przecież miasta stanowić winny główne ośrodki myśli polskiej, jakby jej kuźnie, a więc i rozsadniki późniejszych czynów żywiołu polskiego.

Brak takich swoich miast w dawnej Polsce— dodać można nawiasem — pośrednio wyjaśnia źródło kalectwa późniejszych czynów żywiołu polskiego, a więcej skrzywienia historycznej linji jego rozwoju.

Czy, wobec tego, bez teoretycznego wyjaśnienia sobie, jak winno wyglądać miasto polskie, możliwe jest zdanie sobie sprawy ze schorzenia społeczności polskiej w tym zakresie, nietylko w przeszłości, lecz i w teraźniejszości?

Tak jest nie tylko z miastami. Przykład miast w Polsce został wzięty jako dowód kalectwa polskiego oczywisty wszystkim i dlatego mogący pośrednio wpłynąć na chęć zastanowienia się nad kalectwem polskości w innych dziedzinach.

Podane wyżej przeto ujęcie polskości — w świetle wyłożonych wyżej poglądów—nie jest stosowne. Ono nie wyjaśnia jej istoty.

Musi się ująć jej istotę inaczej.

Pełnia przejawów zdrowych, naturalnych chęci i potrzeb żywiołu polskiego, zamieszkałego w zwartej masie na swoim obszarze historycznym, stanowi istotę polskości.

Odchylenie od tej pełni stanowi jej kalectwo i to kalectwo tem większe, im większe jest to odchylenie.

Dlaczego w „zwartej masie" i „na swoim obszarze historycznym"?

Bo tam zaledwie powstają te warunki, które dają możność każdemu narodowi najsilniejszego zabezpieczenia zdrowych, naturalnych chęci i potrzeb swoich członków, a więc w ten sposób osiągnięcia najsilniejszego rozwoju tężyzny owego narodu, bo wszak naród jest to sumienie jego członków.

Skąd bierze się takie domniemanie o tych warunkach?

Ono bierze się z obserwacji przyrody. Jeżeli nie chce się brać przykładu z życia zwierząt, można go wziąć z życia roślin.

Roślina dla swego należytego rozwoju potrzebuje pewnych warunków—klimatycznych, atmosferycznych, glebowych i t. d.

Każda roślina wykazuje swoją bujność największą, swoją barwę właściwą, swój rozkwit pełny, swój zapach właściwy, czyli swoją „tężyznę", nie gdzieindziej, jak w swoim klimacie, na swojej glebie, w swoich warunkach atmosferycznych.

Tak samo jest i musi być z człowiekiem. Dla uzewnętrznienia pełni swojej tężyzny potrzebuje on swego otoczenia, swego środowiska, swojej ziemi, czyli — swego „klimatu", swojej „atmosfery", swojej „gleby".

Chodzi zatem o ustalenie pełni przejawów zdrowych, naturalnych chęci i potrzeb ludzkich, a tem samem takichże chęci i potrzeb żywiołu polskiego, ustalenie, ma się rozumieć, warunkowe, czyli takie, które nie wybiera ich wszystkich, bo to nie jest wszak możliwe, a daje tylko pewien sposób, pewien klucz, ułatwiający podejście do nich i ich zrozumienie.

(Dok. nast.) ZBIGNIEW KRASNOWSKI

RODOWÓD MONIZMU PRAWNICZEGO

(Dokończenie).

PAŃSTWO może tedy być organizmem lub mechanizmem. Państwo zaś musi stawać się mechanizmem, jeżeli wychyla się ze spólnoty cywilizacyjnej ze społeczeństwem (narodem). Ciężka to klęska dla powszechności, gdy nastanie taki rozłam pomiędzy narodem a państwem. Pomieszanie organizmu a mechanizmu następuje natenczas często i we wszystkich działach życia zbiorowego, a następstwa tego są absurdalne, a wielce tragiczne. Organizm a mechanizm wymagają innych metod i odmienne są ich warunki powodzenia. Na dobitkę inna jest etyka organizmu (rozległa, wszechstronna), a mechanizmu (ciasna, ułamkowa). To też mieszanina posiada własności trujące. Zatruwa i naród i państwo.

Ponieważ moralność rozwija się przez obowiązkowość dobrowolnie uznaną, ten samem tedy wykwita moralność ze społeczeństwa a nie z państwa, które nie dopomoże etyce swemi sankcjami. Jeśli państwo ma być gdzieś mechanizmem, dążyć będzie do wszelkich uproszczeń problemów życia publicznego, gdy tymczasem organizmy, im bardziej rozwinięte, tem mocniej się komplikują. Prawdziwie powiedział Doboszyński: „nie doktrynerskie uproszczenie, ale bogactwo form życiowych — to stała dewiza w ustroju narodowym". A zatem etyka się także komplikuje, a mechanizm tego właśnie nie znosi. Nie znosi również nigdy żadnych wątpliwości czym to też nakręcany być musi ślepem posłuszeństwem i to jest jedyna w nim cnota, starcząca zazwyczaj za całą moralność. Ma mechanizm swoje racje i to niezaprzeczalne, ale są one całkiem inne, niż u organizmów, a wnoszenie metody mechanistycznej w organizm musi się skończyć zatruciem organizmu, a zepsuciem mechanizmu. Nie trzeba mieszać!

Wszystkie zaś rewolucje, od Albigensów poprzez „wielką" francuską aż do bolszewickiej (w Rosji czy w Hiszpanji) myślały apriorystycznie i działały mechanicznie. Przewrót z góry przemyślany obmyśla mechanizmy, któremi chce się posługiwać.

Mechanizm nie wytworzy moralności, oświaty ni dobrobytu, a jeżeli gdzie państwo jest mechanizmem i mechanizm państwowy otoczy te składniki życia zbiorowego, te trzy jego siły swą „opieką", biada im, bo grozi im upadek. Trudno żeby mechanizm miał rządzić organizmem; znaczy to oddać go mechanizmowi na pastwę. A państwo odbierające społeczeństwu samą możebność ruchu, modne obecnie państwo totalne musi być tembardziej mechanizmem. „Wówczas też coraz częściej zachodzą sytuacje, w toku których naruszanie istniejącego porządku prawnego i utartych norm obyczajowości staje się nakazem sumienia" — w czem wszyscy ludzie normalni i myślący zgodzą się z prof. Krzyżanowskim.

Takiemi drogami idzie się od personalizmu do organizmu, a od gromadności do mechanizmu; ale jesteśmy dopiero w połowie drogi.

Ponieważ gromadność nie potrafi utrzymać ładu, choćby tylko ładu życia powszedniego, inaczej jak mechanicznie, musi zmierzać do uproszczeń we wszystkiem, do pewnego rodzaju skrótów w życiu zbiorowem. To też występuje zaciekle przeciw temu, co najbardziej to życie różniczkuje, najwięcej wprowadza odmienności, najwięcej wytwarza rozmaitości — a przez to najwięcej wymaga inteligencji, by się w tem nie zgubić — przeciw odrębności prawa prywatnego a publicznego. Jest to zawiłość przekraczająca siły umysłowe „mechaników".

Dualizm prawny stanowi cechę cywilizacji łacińskiej, stanowi dla nas dogmat cywilizacyjny. Monizm prawny (trzeba wprowadzić ten termin techniczny) tworzy kontrast i tej cywilizacji i zarazem etyki katolickiej. Jest nieprzyjacielem tedy Kościoła i narodów przez Kościół „wychowanych". Jeżeli nie mamy zginąć, musimy dbać o zachowanie dualizmu prawnego.

Monizm prawny stanowi wynalazek cywilizacji turańskiej, jest to — rzecby można — dżingishańska filozofia prawa.

W cywilizacji turańskiej władca był i jest właścicielem całego państwa, wszystkich i wszystkiego, a cała ludność znajduje się u niego w niewoli. Może on, o ile jego łaska, dopuścić innych do jakiejś formy własności i do wolności osobistej, lecz jedno i drugie zawsze tylko do odwołania. To właśnie stanowi cechę tej cywilizacji. W takim systemie zachodzi amplifikacja prawa prywatnego *ad infinitum* na rzecz władcy i wyłączność prawa prywatnego tak dalece, iż prawo państwowe z prywatnego się wywodzi i na prywatnem się opiera, słowem, następuje wchłonięcie prawa publicznego przez prywatne. Ale podmiotem tego prawa, w zasadzie jedynym jest władca, wszyscy zaś inni stanowią tylko przedmioty. W niektórych państwach turańskich istnieje szczeblowatość właścicieli. Władca udziela prawa własności wielmożom, ci znów od siebie mniejszym wielmożom — ale to wszystko do odwołania, które może nastąpić każdej chwili. Jakoż odebranie praw temu lub owemu wielmoży jest czemś pospolitem, taki traci prawo własności i staje się niewolnikiem władcy w jednej chwili.

Trafia się zestawianie podobnych szczeblowatości z łacińskim systemem feudalnym. Mylne to mniemanie. W europejskim dawnym feudalizmie nie szczeblowatość sama stanowiła cechę zasadniczą, której obecność byłaby już dowodem feudalności; lecz cechę taką stanowi wzajemność. Jeżeli gdzie istniał kiedykolwiek „kontrakt społeczny", toć chyba w zachodnim feudalizmie. Obie strony kontraktujące, senior i wasal, przyjmowali wzajemne względem siebie prawa i obowiązki; gdy tymczasem ta szczeblowatość turańska składa się z samych tylko praw władcy i z samych wyłącznie obowiązków wielmoży. Nie każda szczeblowatość jest feudalizmem.

Wielce zajmująca jest obserwacja, jak się ta państwowość turańska przyjmowała w moskiewszczyźnie, na terenach dawnej „wszystkiej ziemi rostowskiej" i późniejszego „Zalesia". Posłużyła tu między innemi instytucja „zakupów", t. j. najmitów pobierających w rolnictwie i w handlu wynagrodzenie z góry za swą pracę na cudzy rachunek, także na rachunek obcego księcia. Dotychczas w Chinach, w Korei i we wschodniej Syberji płaci się najmitę z góry za całą robotę. O takie „zakładniczestwa" powstawały najczęściej antagonizmy pomiędzy Moskwą a W.

Nowogrodem; przez półtrzecia wieku wstawiało się tę kwestję we wszystkie układy. Iwan Kaleta wprowadził „zakładniczestwo" pomiędzy osoby stanu książecego i wszczął obroty handlowe prawami książecemi, udzielając pożyczek na ich zastaw w sąsiednich księstwach. Prawem prywatnem, nabywanem wobec obcych poddanych, przygotowywał zabory moskiewskie. Książę był uprzywilejowanym właścicielem ziemskim, właścicielem w swem własnem księstwie, a zwierzchnictwo nad potomkami dawnych drużynników utrzymywał nadawaniem używalności „seł" książęcych. Z turańskiej również cywilizacji zaczerpnięto zasadę „kormlenia", t. j. nadanie urzędnikowi książecemu prawa, by go żywił sam urząd bezpośrednio. Wszystko to, tudzież inne jeszcze właściwości, z których wyrosło moskiewskie „samowłastie", dokonywało się na zasadach prawa prywatnego. Wymownego świadectwa dostarczają wszystkie trzy redakcje „Prawdy Ruskiej"; w pierwszej niema wogóle mowy o księciu, w drugiej jest on uprzywilejowany pośród sąsiadów, a wyrządzone jego gospodarstwom szkody podlegają karom wyższym, i tej cechy właściciela opartego na prawie prywatnem nie traci w redakcji trzeciej. Rozwój prawa prywatnego dokonywał się ciągle i sięgnął już daleko, kiedy publicznego jeszcze nie było na Zalesiu. Budowa państwa Iwana III (1462—1503) odbywała się wybitnie i dobitnie li tylko na prawie prywatnem, wyolbrzymionem do użytku władzy.

Turańska cywilizacja zmierza do tego, by każdego mieszkańca kraju uważać za zawisłego osobiście od władcy. Prawo prywatne władcy wobec ludności staje się prawem publicznem, lecz nie jest ono czemś odrębnem od prywatnego, zasadniczo różnem, lecz tylko rozbudową prywatnego dla interesów władcy. Jest to turański monizm prawny.

Obecnie, za dni naszych, powstaje w Europie monizm prawniczy nowy, metodą zupełnie odwrotną, niż w turańszczyźnie. Kontynent europejski zmierza do zniszczenia prawa prywatnego przez publiczne, mianowicie przez prawo państwowe, bezetyczne, a w imię omnipotencji państwa. Apriorycznie określa się, jaką ma być państwowość i gnębi się personalizm w imię gromadności, byle zmusić do poddania się koncepcjom powziętym z góry, koncepcjom sztucznym, którym życia udziela sama tylko przemoc.

Słusznie zwrócił uwagę prof. Krzyżanowski, jako za dni naszych „zaciera się różnica między prawem prywatnem a publicznem, między podatkiem a dobrowolną składką czy ofiarą". Niestety, można już powiadać to samo także o innych dziedzinach prawa i życia, o dziedzinach coraz liczniejszych. Jeśli się nie ockniemy na czas z tego ujmowania sprawy publicznej doprawdy „do góry nogami", wpadniemy w monizm prawniczy, polegający na wyłączności prawa publicznego. A rozstrzygać o tem, co jest prawne, będzie pięść.

Dziś obrońcom cywilizacji łacińskiej wypada bronić nie publicznego już prawa, ale prywatnego, żeby nie zostało pożarte przez wypaczone prawo państwowe. Gdy bowiem omnipotencja państwa obejmie władzę nad wszelkiemi sprawami dotychczasowego prawa prywatnego, pozyszcze zarazem moc ograniczania go, modyfikowania i suspendowania. W praktyce będzie to pozostawione „swobodnemu uznaniu" każdego urzędnika w przydzielonym mu zakresie.

A w teorji nie będzie innego wyjścia teoretycznego, jak uznać, że wszystkich i wszystko pozostawia się do swobodnego uznania władcy, któremu nada się też konsekwentnie prawo dowolnego dysponowania wszystkiem i wszystkimi. Wychodzi więc w końcu najzupełniej na turańszczyznę, choć się zaczęło z przeciwnej strony; całe państwo i cała ludność będą jakby prywatną własnością głowy państwa.

Czy tędy droga do postępu w cywilizacji łacińskiej? czy tym szlakiem idzie się do postępu moralności, oświaty, dobrobytu? Etyka cywilizacji łacińskiej, t. j. etyka katolicka nie leży bynajmniej na linji równoległej z omnipotencją państwa, nie może przeto pogodzić się z żadną z konsekwencyj takiej państwowości; ani z etatyzmem, ani z biurokratyzmem, ni z *elephantiasis* ustawodawczą, ni też z *ex lex* podczas pokoju. Etyka naszej cywilizacji zmierza i zmierzać musi ku samorzadowi, ażeby państwo było oparte na społeczeństwie, by mu nigdy nie zbrakło sił ożywczych, które tylko ze społeczeństwa czerpać może. A znamiennem, lecz bynajmniej nie przygodnem łączeniem się przejawów sił życia zbiorowego, tej samej zupełnie drogi, co etyka, trzyma się sprawa oświaty i dobrobytu... ogółu.

Wszelki krok, któryby odsuwał państwo od omnipotencji, będzie zarazem krokiem postępu dla etyki, oświaty i dobrobytu.

Twierdzenie to tyczy się bądź co bądź tylko cywilizacji łacińskiej. Nie zamierzam debatować nad tem, czy w innych cywilizacjach rozwijają się należycie te trzy siły, lecz pragnę tylko jasno postawić sprawę przynależności cywilizacyjnej. Do jakiej cywilizacji zalicza się Polak, w jakiej ma się wyrabiać państwo polskie, jaką cywilizację mamy uprawiać w szkolnictwie publicznem i t. p. A może to wszystko ma być acywilizacyjne? Można i tak, jeżeli się samemu jest acywilizacyjnym. Trzeba się atoli zastanowić nad tem, jako acywilizacyjność łączy się z bezetycznością, a na takie rezultaty czy kto przystanie?

W imię więc kultury polskiej, stanowiącej historyczną część łacińskiej cywilizacji, musimy przeciwić się mechanizowaniu życia publicznego, stawać w obronie żywego organizmu, a do tego wszystkiego fundamentalnym warunkiem jest pielęgnowanie personalizmu. To czyniąc, stajemy tem samem w opozycji przeciw stosowaniu w życiu zbiorowem metody apriorycznej, a przysparzamy powodzenia metodzie aposteriorycznej.

Przeprowadzony tu rodowód monizmu prawniczego mieści w sobie ostrzeżenie; oby tkwiła też w nim zachęta do łacińskiego ujmowania myśli i czynu.

Dzieła tu cytowane (w porządku chronologicznym):

Paul Janet: „*Philosophie du bonheur*", Paris 1863.

Confucius et Menucius: „*Les quatre livres de philosophie morale et politique de la Chine. Traduit du chinois par* M. G. Pauthier. Paris 1890.

Kung-fu-tse: „*Gespraeche (Lunyu)*". *Aus dem chinesischen verdeutscht und erlaeutert von* Richard Wilhelm. Jena 1910.

Stanisław Przybyszewski: „Szlakiem duszy polskiej". Poznań 1917.

Feliks Koneczny: „Dzieje Rosji", tom I. Warszawa 1917; tom II, Wilno 1929.

Richard Mueller-Freienfels: „*Philosophie der Individualitaet*". *Zweite durchgesehene Auflage.* Leipzig 1923

Felix Adler: *„Ethische Lebensphilosophie, dargestellt in ihren Hauptlinien. Autorisierte Uebersetzung aus dem Englischen von* O. Ewald *und* I. Matuschka. Muenchen 1926

Louis de la Vallée Poussin: *„La morale bouddique“*. Paris 1927.

Eduard Spranger: *„Lebensformem. Geistwissenschaftliche Psychologie und Ethik der Persoenlichkeit". Sechste Auflage.* Halle 1927.

Irena Gałęzowska: „Na rozdrożu socjologizmu". Łódź 1928.

Camille Hemon: *„Essai sur la philosophie des moeurs“*. Paris 1929.

Joh. B. Schuster S. J.: *„Der unbedingte Wert des Sittlichen. Eine moralphilosophische Studie“*. Innsbruck 1929.

Adam Doboszyński: „Gospodarka narodowa". Warszawa 1931.

Ks. Prymas August kardynał Hlond: „O chrześcijańskie zasady życia państwowego". Płock 1932.

Kang-Woo: *„Les trois théories politiques du Tch'ouen Ts'ieou, interprétées par Tong Tchong-Chou d'après les principes de l'école de Kong-Yang".* Paris 1932.

Bogumił Jasinowski: „Wschodnie chrześcijaństwo a Rosja na tle rozbioru pierwiastków cywilizacyjnych Wschodu a Zachodu“. Wilno 1933.

Adam Krzyżanowski: „Moralność współczesna". Kraków 1935.

Jakób Maritain: „O nową cywilizację chrześcijańską". Lublin 1935.

E. Peillaube: *„Caractère et pérsonnalité“*. Paris 1935.

FELIKS KONECZNY

TEODOR II I JAN IV

(Z DZIEJÓW ABISYNJI)

Poniżej zamieszczamy jeden rozdział z interesującej książki Bohdana Gębarskiego „Abisynja na tle dziejów", która wkrótce ukaże się na półkach księgarskich. Autor w rozdziale tym omawia dzieje dwu kolejnych władców Abisynji: Kassy—Teodora II i Jana IV.

PRZESZŁOŚĆ Kassy była dość niezwykła, nawet na stosunki abisyńskie. Urodził się około 1818 r. w Kuara. Ojciec jego piastował tam jakieś podrzędne stanowisko, lecz zmarł wcześnie, pozostawiając rodzinę w skrajnej nędzy. Matka przyszłego władcy utrzymywała się z ulicznej sprzedaży t. zw. *kuso* (specyfiku, służącego do leczenia solitera). Chłopiec kształcił się w klasztorze nad jeziorem Tsana, następnie przebywał przez kilka lat u swego wuja, człowieka o dość ciemnej przeszłości, awanturnika i intryganta.

Anarchia, panująca w całym kraju, sprzyjała ludziom obdarzonym odwagą i niepohamowanym temperamentem, a do nich właśnie należał młody Kassa. Predestynowany z natury do niespokojnego życia, żądny sławy, władzy i bogactwa, poszedł po linji swych wrodzonych skłonności i został bandytą. Grasował na drodze wiodącej z Gondaru ku granicy egipskiej, by wkrótce stać się prawdziwym postrachem tych okolic. Banda jego, narazie nieliczna, powiększała się stale, dzięki przypływowi coraz to nowych awanturników i malkontentów.

Wkrótce Kassa stał się tak sławny, że wywołało to poważne zaniepokojenie w stolicy. Z Gondaru wysłano przeciwko niemu ekspedycję karną, ale tej nie udało się ująć groźnego herszta. Kassa, po sukcesach odniesionych nad wojskami rządowemi, stał się w oczach ludu jeszcze popularniejszy. Ówczesny ras Amhary, Ali Marie, wybrnął z kłopotliwej sytuacji w sposób trochę groteskowy: nie czując się dość silnym, aby powiesić przestępcę, mianował go gubernatorem terroryzowanej przez niego prowincji. Zarobił na tem podwójnie: pozbył się groźnego bandyty i zyskał energicznego urzędnika. Wkrótce Kassa stał się członkiem jego rodziny, żeniąc się z córką dostojnika.

W nowej zawierusze wojennej polegli rasowie Amhary i Godżamu, a rządy nad obu prowincjami spoczęły w rękach Kassy (1854). Posiadał on jeszcze dwu groźnych rywali w osobach Haile Malakota, „króla" szoańskiego i rasa Ubie z Samenu, który po usunięciu synów Sabagadisa, sprawował rządy nad prowincją Tigre. Gdy wieść o śmierci Alego dotarła do Ubiego, ten ostatni nie zwlekając, ogłosił się królem królów, mimo że w Gondarze na łaskawym chlebie u Kassy żył jeszcze nominalny władca kraju, słynny ze swego obżarstwa Jan III.

Metropolita, przebywający wówczas w Gondarze, został pośpiesznie wezwany do Tigre, celem dokonania koronacji. W drodze dopędził go Kassa. Pojazd abuny został otoczony przez zbrojnych a były bandyta, ze słodkim uśmiechem, zaproponował zwierzchnikowi kościoła, by nie rasa tygryjskiego, a właśnie jego koronował na króla. Nikczemny kopt zgodził się na to chętnie, lecz zażądał by Kassa gdy zostanie negusem, wypędził z kraju katolickich misjonarzy, których, nawiasem mówiąc, było tam już sporo.

— Dobrze — odpowiedział władca — ale wzamian za to przekonaj duchowieństwo, że to ja właśnie jestem obiecanym przed wiekami wybrańcem Bożym.

Abuna zerknął na tłum ponurych zbirów i pośpiesznie zgodził się na wszystko.

Metropolita pozostał więc w Gondarze, a Kassa na czele fanatycznie oddanej sobie armji ruszył na podbój Tigre. Ras Ubie, wkrótce rozbity i wzięty do niewoli, musiał odtąd pędzić życie w lochu, przykuty złotym łańcuchem do swego dozorcy. Ten sam los spotkał niefortunnego „negusa z łaski rasów", Jana III, ostatniego z królów-marjonetek na tronie abisyńskim.

Koronacja Kassy-Teodora odbyła się niezwykle okazale 7 lutego 1855 r. Wszyscy dostojnicy państwa, duchowni i świeccy, musieli stawić się na uroczystość. Teodor, chorobliwie dbający o swój *prestige*, otoczył się w tym dniu przepychem prawdziwie monarszym. Kiedy ubrany w złoty płaszcz koronacyjny w asyście wspaniałego orszaku stanął na progu świątyni, wszyscy zebrani padli przed nim na twarz. Gdy dokonano obrzędu, zawołał: „Przysięgam na tę koronę, którą nosili

moi przodkowie, że połączę pod swemi rządami wszystkie kraje, które kiedykolwiek należały do Etiopii".

Oczywiście w słowach tych było sporo pozy (nikt z przodków Kassy nie nosił korony królewskiej[1]), ale wypowiedziana przez niego groźba nie była czczym frazesem: wszystkie ziemie stanowiące właściwą Abisynję, zostały—na krótko wprawdzie—połączone pod jego berłem.

Przystępując do realizowania swego programu, Teodor wyruszył na Ankober, stolicę niepodległego Szoa. Państewko to było od wieków abisyńską Wandeją. Tu znaleźli przytułek zdetronizowani przez Falaszów Salomonidzi; stąd też w połowie XIII w. powrócili oni na tron abisyński. Kiedy na zamku gondarskim jak na scenie marionetek zmieniały się ukoronowane kukły, jedna tylko Szoa trwała wiernie przy prawowitej dynastii. Niechęć syna handlarki do królów szoańskich była więc aż nadto uzasadniona.

W Ankoberze rządził wówczas Haile Malakot (1846—1856), syn i następca pogromcy Gallasów, wielkiego Sahle Selassie. Poległ on w starciu z Teodorem, ale w stolicy ufortyfikował się jego brat, mężny Abato Senfa. Po zaciekłej walce Ankober został zdobyty a następnie splądrowany przez żołdaków. Okrutny Teodor kazał poucinać jeńcom lewe nogi i prawe ręce. W ten sposób pokaleczono 230 żołnierzy.

Jedynie 12-letniemu następcy tronu, imieniem Sahle Mariam, udało się uciec z pogromu. Nie uszedł jednak daleko: pochwycony na drodze z Mindżaru do Czer-Czeru w Barakete, został odstawiony do obozu zwycięscy. Kassa nieobliczalny w swych czynach, zresztą, mimo okrucieństwa, nie pozbawiony szlachetnych odruchów, przyjął sierotę bardzo serdecznie i zrobił go swoim paziem. Nie sądził z pewnością, że sługa ten stanie się jednym z jego następców i pod imieniem Menelika II, opromieni chwałą imię Abisynji.

Wieść o pogromie państwa szoańskiego nieprędko przeniknęła do Europy. Jeszcze w 1884 r. ukazała się w Wilnie „Podróż historyczna po Abissynii, Aden, Szoa, Nubii, u źródeł Nilu, z opisaniem jego wodospadów, oraz po krajach podzwrotnikowych; do Mekki i Medyny, Syrji i Palestyny, Konstantynopola i po Archipelagu" napisana przez Ignacego Żagiella, „doktora i księcia, członka wielu akademij, uniwersytetu Oksfordzkiego i uczonych Towarzystw zagranicznych". Jest to opis podróży, rzekomo odbytej przez autora w 1863 r.—w istocie zaś nędzny falsyfikat, świadczący o wielkiej niesumienności p. Żagiella.

Między innemi znajdujemy tam opis pobytu na dworze negusa szoańskiego Sahle Selassie, z którym autor rzekomo kilkakrotnie rozmawiał, podejmował go śniadaniem, był przez niego podejmowny, a wreszcie obdarzony wspaniałym mułem i klejnotami. Autor szczegółowo opisuje powierzchowność króla, a nawet załączył jego podobiznę, wykonaną jakoby przez jednego z uczestników wyprawy. Oczywiście nie zapędziłby się aż tak daleko, gdyby wiedział, że Sahle Selassie umarł w 1846 r., a w czasie, kiedy odgrywa się akcja książki (1863), Szoa stanowiła jedną z prowincyj Teodora, w której rządził z jego ramienia namiestnik Melkania.

Nie wspominałbym o tej kompromitującej książce, gdyby nie to, że u nas w Polsce przez dłuższy czas poważnie traktowano te niepoczytalne brednie. Wprawdzie niejednego musiało zdziwić to, że czarne dziewczęta abisyńskie mają u Żagiella „różowe ramiona" (str. 126), a twarze „przezroczysto-różowe, ciemnawe" (str. 96), że Gallasowie i Szoańczycy są u niego „Arrameńczykami" (str. 129), to znów Kabylami i t. d. Widocznie nieścisłości te brano na karb bujnej wyobraźni podróżnika. „*A beau mentir qui vient de loin*..." W tym wypadku jednak nie dalej niż z Antokola.

Teodor słusznie uważał miejscowe duchowieństwo za ciemną i chciwą zgraję; oceniał jednak niezmierną potęgę tej organizacji i bał się otwarcie z nią zadzierać. Niechęć jego znajdowała wyraz w szykanach, których nie szczędził monofizyckiemu klerowi. Pewnego razu zgłosiła się do niego delegacja księży, by zwrócić uwagę władcy na upośledzenie kościoła w państwie. Dowodzili uczenie i rozwlekle, gestykulując i padając na twarz, aż wreszcie zniecierpliwiony Teodor przerwał im drwiąco:

— Nic na to nie mogę poradzić. Zawarłem niegdyś pakt z Panem Bogiem. On mi obiecał nie schodzić na ziemię by mi nie przeszkadzać, a ja nawzajem obiecałem nie wtrącać się do Jego niebiańskich spraw.

W gniewie był straszny. Gdy jeden z konsulów europejskich zażądał odseparowania trędowatych, tłumnie wałęsających się po mieście, Teodor kazał ich zapędzić do słomianej szopy za miastem. O jakiemkolwiek leczeniu nieszczęśliwych oczywiście nie mogło być mowy, ale prawdopodobnie nie zamierzał im zrobić nic złego. O rozkazie negusa dowiedział się jego szambelan (*azadż*) i opacznie tłumacząc wolę swego pana, kazał szopę oblać roztopionym woskiem i podpalić. Gdy Teodorowi o tem doniesiono, wpadł w szalony gniew i kazał domyślnego sługę wrzucić do wnętrza palącego się jeszcze budynku. W tym wypadku sprawiedliwości stało się zadość.

Czasami jednak postępował w sposób nieobliczalny. Pewnego razu, naprzykład, zgłosili się do niego rozbójnicy z Tirzy, a powołując się na manifest zalecający wszystkim powrót do zajęcia ojców, prosili negusa by i im zezwolił powrócić do fachu ojców i dziadów i odtąd już jawnie uprawiać bandytyzm.

Teodor pochwalił opryszków za wierność tradycji rodzinnej i udzielił swego zezwolenia, ale gdy wyszli z pałacu, polecił ich pochwycić i zakuć w kajdany.

— Słusznie robicie, wzorując się na swych ojcach—powiedział surowo—ale ja równie dobrze zrobię, kiedy was za to powywieszam.

Poczem, na skinienie negusa, niefortunni petenci zawiśli na hakach.

Pewnego razu wezwał do siebie dostojników państwa i, przenosząc wzrok z jednego na drugiego, zapytał groźnie:

— Czy boicie się mnie?

— Tak panie—odpowiedzieli przestraszeni.

— A dlaczego moja żona mnie nie boi się?

Zapadła cisza. Przerażeni wodzowie zamie-

---

[1]) Teodor wprawdzie twierdził, że jego matka była spokrewniona z dynastją Salomonidów, ale świadczy to jedynie, że posiadał on zmysł rządzenia, nakazujący najbardziej bezwzględnym despotom liczyć się z opinją poddanych.

nili się spojrzeniami. Wreszcie najstarszy wiekiem odezwał się:

— Zapewne dlatego Panie, że przed nami stajesz ubrany w złoto i purpurę, w całym swym majestacie, a przed małżonką swą nago.

— Masz rację — powiedział po namyśle Teodor—prawdopodobnie dlatego.

Najlepiej czuł się w obozowisku wojskowem, pomiędzy swemi pułkami. Przeniósł też stolicę z Gondaru do Magdali, prymitywnej fortecy, leżącej na granicy pustynnej Dankalji.

Rozpoczął panowanie pod znakiem reform. Stałby się może abisyńskim Piotrem Wielkim, gdyby był cierpliwszy i bardziej konsekwentny. Ale on zwykł był łamać to, co poprzedniego dnia z wysiłkiem zbudował.

Doskonałą ilustracją tego był jego stosunek do europejczyków. Gdy wstępował na tron obowiązywało jeszcze prawo Fasiladasa, zabraniające cudzoziemcom przekraczać granice państwa. Oczywiście w praktyce niewiele sobie z tego zakazu robiono, ale formalnie istniał, odstraszając ludzi mniej odważnych. Dopiero Kassa zniósł go oficjalnie i otoczył europejczyków troskliwą opieką, lecz w kilka lat później przywrócił dawne prawo a cudzoziemców zakuł w kajdany.

Niezaprzeczalną zasługą Teodora było zgniecenie rasów. Ubie i Malakot nie wyczerpywali oczywiście długiej ich listy. „Abisynja ma już dość wielkorządców bez mózgu, takich jak ty" — mówił do jednego z byłych dostojników. Narazie pozostawił im dawne tytuły—nie związane jednak z żadnemi uprawnieniami—władzę zaś nad poszczególnemi częściami państwa przekazał mianowanym i odpowiedzialnym wobec siebie gubernatorom. Rezultatem śmiałych reform Teodora była rewolta rasów, siedemnaście spisków i jedenaście zamachów na jego życie, przyczem był sześciokrotnie raniony. Wszystko to doprowadziło go wreszcie do jakiegoś krwawego szału. Wszędzie wietrzył zdradę. Z jego rozkazu tracono każdego na kogo padło podejrzenie, że pozostawał w stosunkach z buntowniczymi rasami. Z nienawiści do tych ostatnich mordował ich spokojnych poddanych. Dla jeńców wojennych był bezlitosny i często osobiście brał udział w ich traceniu.

Pierwotnie budził grozę. Ta jednak szybko przeszła w powszechną nienawiść. Gdyby był prawowitym monarchą, wybaczonoby mu wiele—ciemny i okrutny lud abisyński posiadał jedną niedemokratyczną cnotę: wierność dla swych panów. Ale Teodor stał się panem prawem kaduka — pamiętano jeszcze jak rozbijał na wielkiej drodze; byli i tacy, co znali jego matkę, handlarkę *kuso*—ową „księżniczkę krwi", jak twierdził Teodor.

Teraz już mógł polegać tylko na wojsku, zdeprawowanem zresztą gruntownie rabunkiem i masowemi egzekucjami. Mimo wszystko armią tą dowodzili dawni kamraci Teodora, a ci byli mu fanatycznie oddani; dlatego też wojsko najdłużej pozostało mu wierne.

(D. c. n.) BOHDAN GĘBARSKI

Z OKAZJI JUBILEUSZU CH. MAURRAS'A

W ROKU bieżącym przypada pięćdziesięciolecie pracy literackiej jednego z największych pisarzy Francji, poety i myśliciela, znakomitego polityka i teoretyka nacjonalizmu francuskiego, Karola Maurras'a.

Jeden z jego wyznawców jest zdania, iż „każda ręka pisząca we Francji, oraz każda głowa myśląca" winna mu wdzięczność.

Z tego więc powodu liczni przedstawiciele elity literackiej zamierzają złożyć zbiorowo hołd wielkiemu pisarzowi.

Nie po raz pierwszy spotyka się Maurras ze zbiorowemi wyrazami uznania ze strony kolegów po piórze, i to należących do różnych sfer i kierunków ideowych.

Już w 1909 r., gdy była w pismach mowa o tem, kto spośród trzech publicystów najbardziej godzien jest reprezentować dziennikarstwo w Akademji Francuskiej, najwięcej głosów otrzymał Maurras; po nim dopiero szli tacy jak: Clemenceau, Muret i t. p.

Kiedy w 1911 r. obchodzono dwudziestopięciolecie jego działalności, najświetniejsze pióra ze starszego pokolenia (J. Lemaitre, Bourget, Barrès etc.)—nie mówiąc już o młodszych—nie szczędziły mu słów sympatji i podziwu. A i później, po wielkiej wojnie, rozmaici wybitni pisarze i politycy (Poincaré, H. de Jouvenel, M. Colrat, Franklin-Bouillon, D. Halèvy, Bellessort, Bonnard i t. p.) stwierdzali publicznie, że jeśli groźba zawieszona nad cywilizacją zostanie zażegnana dużo w tem będzie zasługi Maurras'a.

Prezydent Poincaré, w rozmowie z Barrès'em, nazwał Maurras'a „jednym z pierwszorzędnych mężów stanu" i jemu, między innemi, przypisywał swoją stanowczą postawę względem Niemiec powojennych.

Po pierwszych próbach literackich Maurras'a witał go „mistrz" Anatol France, podówczas nie hołdujący jeszcze snobizmowi socjalistycznemu, w ten sposób:

„Jako dziecko szczęśliwe oddychałeś powietrzem łacińskiem, które żywi myśl przejrzystą i sprzyja jej miarowemu pochodowi wzdłuż świętego brzegu. Wśród kwiatów, co rozkwitają na piaskach, dumałeś o przedziwnych baśniach Karolu Maurras'ie; bogowie obcy, wygnani, i Bóg, którego przyniosła Maria, kochali ciebie; obdarowali cię oni fletnią Sylena i organem sosen melodyjnych, aby wspierali twój głos, wyrażający świętość piękna oraz harmonję praw—zakreślających obwód grodów i miłość, i jej boską siostrę, tak samo słodką — śmierć". (Przekład wiersza A. F.)

Tak było w istocie! Ale ten urodzony poeta, ten kochanek Muz opanowany wielką miłością piękna, w wieku męskim został odciągnięty daleko od Parnasu, wskutek konieczności walczenia o to, co zagrażało nietylko Muzom i pięknu, lecz także zasadniczym prawom „grodu" — Francji, w którego „obwód" wtargnęły gromady szaleńców, gotowe rozstrajać i niszczyć to wszystko, co było jego dziedzictwem kulturalnem i jego chwałą.

Na jego obronę zużywał Maurras, codziennie przez pół wieku, wszelkie zasoby i energje swego

bogatego ducha. Dlatego też ten pierwszorzędny humanista, głęboki poeta i myśliciel, natchniewał się stale w swej działalności pisarskiej życiem płynnem, bieżącem; pogrążał się nieustannie w jego nurt, żeby z jego różnolitych składników wyróżnić te, które noszą cechy trwałości i reprezentują jakąś dobroczynną tradycję. Wybierał Maurras stamtąd to, co nosi piętno pełnego życia, co jest organiczne i uporządkowane, zrozumiałe i harmonijne.

Tego rodzaju życie, w którem jest zawarta zupełniejsza prawda i rzeczywistsze piękno, niż w tem wszystkiem, co zgiełkliwa współczesność wyrzuca na powierzchnię dziejów, pragnie Maurras uczynić wzorem do naśladowania dla wszelkich organizatorów i budowniczych społecznych, gdyż jest ono, podług niego, tą cząstką najlepszą, która pozostaje po wysiłkach najzdolniejszych ras ludzkich oraz ich cywilizacyj.

Znakomitą analizę takiego życia i ogólną charakterystykę kultury helleńskiej, która na jego podstawie zrodziła się i udoskonaliła, dał Maurras w swej „*Anthinei*“ — książce co głęboki ślad pozostawiła w umysłach paru ostatnich pokoleń Francji, poszukujących swoich dróg i przeznaczeń narodu.

Mówiąc tam, między innemi, o „narodzinach mądrości“ i „odkryciu rozumu”, Maurras w ten sposób podkreśla znaczenie tego największego zdarzenia w dziejach świata: „Jest rzeczą zrozumiałą“—powiada—„że wskutek tego, iż Ateńczycy doświadczyli czem jest całkowite życie i wszelka namiętność, zmuszeni byli poszukiwać dla nich miary gdzieindziej niż w życiu namiętności. Uczucie poruszało całem ich postępowaniem, oni zaś umieścili rozum na swoim ołtarzu!!” (str. 84 itp.)

Rozważając to wszystko co stanowi trwałą zdobycz cywilizacyjną ducha helleńskiego, dochodzi Maurras do wniosku, że wpływ rozumu ateńskiego, jak stwarzał tak też może stwarzać ponownie porządek cywilizacji prawdziwej wszędzie tam, gdzie zechcą zrozumieć, że ilość rzeczy wytworzonych oraz siła czynności produkcyjnych, gdyby się nawet zwiększała do nieskończoności, nie potrafi nam dać niczego takiego, coby było nowem dla nas. „Dusza rozżalona i niezadowolona“ — pisze — „która zrobiła z człowieka zwierzę przemyślne i wynalazcze, zmieniające oblicze świata, owa dusza pożądania i trudu nie będzie nigdy zadowolona przez liczbę jakąś dzieł i prac, każda bowiem liczba może być zwiększona: to jakość i doskonałość jej dzieła da jej wytchnienie, gdyż wszelka doskonałość ogranicza się w punktach ścisłych, co ją określają i znika poza niemi.” (Str. 85).

Mądrość, będąca wynikiem powyższego stosunku do życia, podnieca nas lecz i powściąga, pobudza i trzyma na wodzy. Jest ona źródłem zapału i, z kolei, pohamowania, zaznacza ona w miejscach zetknięcia się człowieka z wszechświatem te kształty mocne i powabne, które rodzą zarówno piękno jak i szczęście.

Cały postęp naszego gatunku polegałby, podług Maurras'a, na przekazywaniu i rozwijaniu dóbr bezcennych, które wytworzyła cywilizacja helleńska. Nastąpić to jednak może pod warunkiem gdy przestanie nas uwodzić liczba. O to wszakże niełatwo w naszych czasach, w których oszukaństwo i przemoc liczby narzuca się człowiekowi w rozmaitych postaciach, przemawiających skuteczniej do zmysłów pierwotnych, do instynktów i namiętności, niż do rozumu, do tego, co tworzy wdzięk i boską harmonję.

Z tych to powodów, nie podziela Maurras złudzeń i nie ma przekonania do współczesnego rozpędu demokratycznego, który unosi niektóre społeczeństwa zachodnie, te, co biorą tę dążność na serjo, nie mówiąc o ulegających potwornym mistyfikacjom w tym rodzaju.

Maurras nie jest doktrynerem, narzucającym życiu ideje powzięte z góry, ceniącym więcej swoje uprzedzenia od wyników myśli, popartych doświadczeniem dziejów; jest on w najsłuszniejszem znaczeniu tego pojęcia, pozytywistą, uważnym badaczem rozwoju instytucyj ludzkich, liczącym się wciąż z siłami, co je powołały do życia, oraz z następstwami ich działania wśród rozmaitych okoliczności i na różnych stopniach historycznego bytu społeczeństw (p. studjum M. o Auguście Comte'cie w dziele „*L'Avenir de l'Intelligence*“).

Nieuprzedzona ocena wartości dla życia człowieka i cywilizacji tych instytucyj państwowych i urządzeń społecznych, które przyzwyczajono się nazywać „demokratycznemi”, przekonała Maurras'a iż więcej sprzyjają one spożywaniu dóbr, nagromadzonych w okresach t. zw. „arystokratycznych”, niż ich wytwarzaniu, niżeli wogóle wszelkiej twórczości ludzkiej.

„Produkcja, stwarzanie“—powiada—„wymaga potężnego porządku, ładu. Spożywanie jest mniej wymagające i ani bezład, ani rutyna niezbyt go krępują” (p. przedmowę do 16-go wydania „*Anthinei*“).

I dlatego, wobec doświadczeń dziejów świata oraz ujemnych eksperymentów teraźniejszości, żadne blaski wybuchających współcześnie ogni zapałów „demokratycznych”—nie mówiąc o pożogach— nie potrafią go olśnić i przyćmić jasności wzroku.

Rozważając współczesny zamęt i doktrynerskie, bądź wręcz kryminalne jego podtrzymywanie wbrew najoczywistszym interesom i aspiracjom człowieczeństwa, Maurras powiada między innemi:

„...łacińskość jest to ład; starożytna społeczna prawda łacińska zapłodni w sensie pozytywnym doświadczenie negatywne Moskwy. Na Wschodzie dotarto do dna anarchii; zadaniem naszego Zachodu jest wykazać jak się ustanawia ta Archia, władza racjonalna, utworzona z przyjaźni i siły, która stanowiła powab świata, a bez której poszukiwać on będzie napróżno swego dobra niezbędnego, mianowicie — pokoju” (p. studjum „*L'Avenir de l'Ordre*”).

Podstawy estetyki oraz polityki Maurras'a wypływają ze wspólnego źródła, z wypróbowanych w biegu dziejów wartości kultury hellensko-łacińskiej.

Zasadą pierwiastkową będzie dla niego w obu przypadkach, iż bez ładu niema ani piękna, ani szczęścia, ani trwałości.

Jako krytyk panujących kierunków literackich, zwłaszcza zwyrodnionego romantyzmu, starał się Maurras narzucić pewien ład widmom świata idealnego, obudzonym przez władzę imaginacyjną, w przeświadczeniu, że przeniknąć do głębin harmonij naturalnych i osiągnąć poznanie rzeczy wyższych niepodobna za sprawą samej intuicji natychmiastowej, i że tu decyduje rozważny intelekt. Podobnież w dziedzinie politycznej. Maurras jest przeciwnikiem demokracji i liberalizmu dlatego, iż

widzi w nich negację ładu, harmonji. Zorganizować państwo albo ciało społeczne to—podług niego—ustanowić odpowiednie organa.

W demokracji liberalnej istnieje próżnia pomiędzy działalnością polityka i interesem narodu. Demokracji niepodobna zorganizować, można ją tylko zmechanizować. W istocie bowiem zorganizować demokrację znaczyłoby tyle, co ustanowić rozmaite arystokracje, gdyż organizować jest to różniczkować, t. j. stwarzać użyteczne nierówności. Społeczeństwo, zdaniem Maurras'a, wytwarza jednostki poszczególne, nie składa się wszakże z nich lecz z grup istot ludzkich, które organizują się samorzutnie podług rozmaitych kryterjów: religijnych, naukowych, artystycznych i t. p. Zadaniem państwa nie jest stwarzanie grup tego rodzaju, gdyż one istnieją już przed jego działaniem w tym celu; państwo natomiast powinno tylko umożliwić im egzystencję. Ale właśnie państwo demokratyczne, broniąc własnego bytu, odtrąca daleko od siebie owe naturalne grupy i związki ludzkie i uciska je silną centralizacją administracyjną.

Wynika stąd, że państwo demo-liberalne nie może należycie spełniać swej funkcji w zbiorowości ludzkiej.

Stosując tego rodzaju kryterja do oceny tej rzeczywistości państwowej, która wyszła z haseł W. Rewolucji, a rozwinęła się i wydała swe cierpkie owoce w ciągu 3-ciej Republiki, Maurras w licznych pracach [1]), w codziennej długoletniej działalności publicystycznej („*L'Action Française*") — wykazuje jak ta rzeczywistość zaciążyła na życiu Francji, jakich spustoszeń dokonała w jej organizmie narodowym, w jakiej niezgodzie pozostaje z interesem narodu, z rozwojem jego sił przyrodzonych i z kulturą odziedziczoną, wogóle z jego bytem oraz przyszłością.

Od szeregu lat z niesłabnącą siłą logiki i świetnością słowa przeciwstawia czczym abstrakcjom W. Rewolucji żywą ideję narodu, ładu wewnętrznego i ciągłości polityki, ideję państwa narodowego i cywilizacji narodowej.

Nacjonalizm Maurras'a, jeden z niezależniejszych umysłów z obozu przeciwnego, socjalista Georges Sorel, nazywał „formą naukową patrjotyzmu", dodając iż Maurras jest twórcą „jedynego poważnego ruchu nacjonalistycznego, jaki istniał we Francji".

[1]) Główniejsze prace Maurras'a w tej mierze: „*Kiel et Tanger*", „*L'Enquête sur la monarchie*", „*Trois idées politiques*", „*La politique réligieuse*" i t. p. Kwintesencja poglądów Maurras'a na rozmaite sprawy i zagadnienia polityczne zebrana została przez P. Chardon'a w ogromnem dziele „*Dictionnaire politique et critique*".

Co więcej: tenże Sorel, w przewidywaniu wielkiej wojny, w inny jeszcze sposób stwierdza życiową wartość idej maurassowskich mówiąc: „przecież to nie gadulstwo socjalistyczne będzie mogło przeciwstawić się wypadkom; stanie się to za sprawą zasad nacjonalizmu" (p. „*Propos de G. Sorel*", zebrane przez J. Variot).

Nie długo trzeba było czekać na to, żeby się przekonano jak słuszny był sąd Sorel'a!...

Dzisiaj, gdy Francja powojenna wykazuje coraz większy rozstrój swych instytucyj państwowych, i znajduje się w niebezpiecznej sytuacji, w której nie one już kierują biegiem życia politycznego narodu, lecz nieodpowiedzialne czynniki, działające poza niemi i nad niemi (Parlament—ten główny filar Republiki — za rządów „frontu ludowego" obradował i uchwalał ustawy pod presją mas, w warunkach niezgodnych z duchem tej instytucji oraz suwerennością głosowania powszechnego i t. p.); kiedy zdezorganizowanie społeczeństwa przez owe instytucje i rozbicie żywych sił narodu postąpiło tak daleko, że grozi mu to katastrofą moralną i polityczną — jasna prawda idej Maurras'a występuje tem dobitniej na tle zmąconego i wzburzonego życia Republiki.

Sprawdzają się przewidywania i ostrzeżenia Maurras'a, że w takim stanie rzeczy, gdy zamiast polityki integralnego interesu narodowego uprawia się raz politykę nieziszczalnych utopij, znów inny sekciarską i klasową — rychło zejść można z pierwszorzędnego stanowiska mocarstwowego na drugorzędne, i tracić naturalnych przyjaciół i sprzymierzeńców, wplątując się w niepoczytalne awantury (sankcje antywłoskie, współudział w wypadkach w Hiszpanji i t. p.)—jak sprawdziła się jego przepowiednia z 1913 roku o tych „pięciuset tysiącach młodych Francuzów, zimnych i krwawych, leżących pokotem na ich, źle bronionej, ziemi" (p. książkę „*Kiel et Tanger*").

W ostatnich czasach, gdy światu zaczęły znowu grozić straszliwe starcia zbrojne, Maurras, jak zawsze czujny i pełen odwagi cywilnej, ostrzegał przed nowemi hekatombami kogo należy — za to został skazywany—dwukrotnie—w sumie na jedenaście miesięcy więzienia [2]). Jest to ukoronowaniem, w roku jubileuszowym, jego niestrudzonej służby publicznej: fakt ten w większej jeszcze chwale stawia przed nami postać znakomitego bojownika idei narodowej.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

[2]) Wobec zapędów wojowniczych „frontu ludowego", Maurras zagroził jego szefom, że gdy wywołają zbrodniczą wojnę z Włochami, to pierwsi staną się ofiarą bezmyślnego mordu. To, co było wyrażone w trybie warunkowym, zależny sąd określił jako wzywanie do spełnienia zbrodni.

FILM Z KRZEMIEŃCA

Witaj Krzemieńcu,
Muz oblubieńcu!
Tadeusz Czacki,
Juljusz Słowacki,
Królowa Bona
(Już pogrzebiona),
Cerkwie, kościoły,
Góry i doły,
Strome wąwozy
Trzeszczące wozy,
Zwinne koniki,
Autobus dziki,
Chłopy i popy,
Na polach kopy,
Stuletnie dworki,
Ludzkie fetorki,
Żydy i żydki,
Zapaszek brzydki,
Ikwa i mykwa,
Niebieskie chaty,
Harbuz brzuchaty,
Malwy, goździki
I słoneczniki,
Żegnaj, Krzemieńcu,
W kłosianym wieńcu!

ARTUR CHOJECKI

NA WIDOWNI

O rolę prasy w życiu publicznem. — Represje i konstytucja. — Autoryzowany kabotynizm rewolucyjny. — Prawda i kłamstwo w życiu cywilizacji. — Prasa polska a niepodległość.

PO POWROCIE ze wsi, gdzie się wypoczywało na łonie natury bez czytania gazet, natknąłem się na artykuł wstępny w „Kur. Porannym" (z 20 sierp.) p. t. „Dalszy ciąg refleksyj".

Dowiedziałem się z tych „refleksyj", że w czasie moich wakacyj spadły na prasę polską dwa gromy: zapowiedź publiczna p. premjera gen. Składkowskiego, że karać będzie dziennikarzy za wybryki (kłamstwo, oszczerstwo i t. p.) zesłaniem do Berezy Kartuskiej i niemal jednoczesny artykuł dziennikarski motywujący konieczność takich represyj.

Próżno usiłowałem wyrozumieć, w jakim charakterze autor występuje, czy jako redaktor „Kurjera Porannego", ściśle związany z p. Rzymowskim, czy też jako mąż stanu, pozostający w ścisłej współpracy z Rządem. Dziennik rzeczony jest jednocześnie organem frontu ludowego i organem gorliwie prorządowym. Węzełek nie tyle gordyjski, ile hiszpański i nie o osobę autora w tem związaniu chodzi, lecz o rzeczy doniośléjsze, któremi prasa musi się interesować.

Dlaczego „Kur. Porannemu" tak zależy na tem, ażeby opinja publiczna nie zajmowała się tem, czem on jest i co robi? W artykułach swoich wyładowuje źle tajoną niecierpliwość z powodu rzekomej niedyskrecji prasy, wglądającej w jego działalność. „Kurjer" swój występ publicystyczny poświęca całkowicie sprawie swej nietykalności, piętnując „Czas" za wszystkie informacje, jakie podał o „Kurjerze Porannym" lub o p. Rzymowskim. Według niego wszystko to jest „kłamstwo i świństwo", bo to jest „grzebanie się w sprawach kolegów i w cudzym domu".

Nie mam potrzeby stawania w obronie „Czasu", który sam sobie z tem poradzi, ale sprawa jest szersza i każdego z nas dziennikarzy poruszyć musi. W jakiem towarzystwie znaleźliśmy się? Publicysta taki powie: „W Hiszpanji szlachtują, a ja tylko wyzywam". Ale może ktoś zgóry zechciałby go uspokoić? Wojny domowej jeszcze u nas niema, a metody z r. 1926 są już przestarzałe. Skądże ten tupet polityków po dziesięciu latach błędnego marszu, skądże ta ideologia rewolucji socjalnej, gdy nawet w Hiszpanji zły ona obrót bierze?

— — — — — — — — — — — —

Znamy ten typ myślenia nie od dziś. Czemże był dawny „Głos Prawdy", jak nie biurem akcji i planowania? Nie tajne mu były plany majowe, gdy już 1 maja 1926 r. pisał o ówczesnym Rządzie i Sejmie, jako o „koalicji złodziei, korruptorów i prostytutek politycznych" (nie było wtedy konfiskat i Berezy). Wymieniano z nazwiska ludzi wybitnych, którym te złodziejstwa zarzucano, czemuż jednak tych złodziejstw nie wykryto pomimo usiłowań? Inny zaś widok przedstawia się dzisiaj, pomimo że planowano odrodzenie moralności. „Kur. Poranny" jest symboliczny dla naszych stosunków obecnych i dlatego nim się zajmujemy. Jest on dzieckiem z małżeństwa zawartego między rewolucją a swoistym legalizmem. Odbiera mu przytomność rozdwojenie jaźni na dwa tory, nie wie jak ma iść—prawem czy lewem. Jak na rewolucjonistę—powiada sobie w sumieniu — i tak jestem zbyt łagodny. Cóż to znaczy powiedzieć komuś: świnia albo złodziej? Mógłbym postąpić radykalniej. Niestety, wypada tak z konjunktury, że działać trzeba z zachowaniem pozorów prawa. Dużo się też robi, aby radykalizować pojęcie prawa, jako rzeczy względnej, zależnej od ręki, która ją dzierży, uzupełniać „akcją" takich czy innych środków według swobodnego uznania.

Dopuszczenie tego typu mentalności do akcji i planowania oznacza koniec praworządności, jest to otwieranie bram na bezbrzeżne pole anarchji. Stąd kolizja takich kompleksów psychicznych z psychiką społeczeństwa, które pragnie tylko jednego — praworządności, jako podstawy akcji i planowania. Nie znajduje się ono bynajmniej w transie rewolucyjnym, pragnie jednoczenia się narodowego we wspólnej myśli i miłości, pragnie ustalić w sobie jaźń narodową i nie może zrozumieć, aby usiłowania skierowane do zakłócania tego naturalnego procesu psychicznego mogły pochodzić skądinąd, jak tylko od agentur obcych lub od psychopatów.

— — — — — — — — — — — —

Dziesięciolecie kursu politycznego, poczętego z przygody chwilowej, starczyło w zupełności na to, aby jego psychika, nadmiernie forsowana, zwyrodniała w końcu do kształtu takiej groteski, jak „planowanie" życia przez publicystów którzy nie rozróżniają wskazówek na zegarze historji. Doszło do tego, że nie wiadomo, co robić z najistotniejszemi funkcjami życia narodowego. Wszystkie przeszkadzają. Przeszkadza opinja publiczna ze swojem poczuciem sprawiedliwości, ze swoim patrjotyzmem, ze swoją gotowością do samorządu i t. d. Przeszkadza prasa, przeszkadzają sądy, przeszkadza sam rytm uczuciowy społeczeństwa, wyrażający się w obchodach rocznic narodowych...

Czy można sobie wyobrazić coś bardziej kłopotliwego dla prasy, jak zreferowanie przebiegu tak jasnego dnia, jak dzień 15 sierpnia? Ludzie akcji i planowania nie wiedzieli zupełnie, co z nim zrobić. Cały świat obcy patrzał na Polskę, jak ona radośnie wspominać będzie chwilę swego uniesienia patrjotycznego, które taką usługę oddało zachodowi Europy, jaką teraz odda Hiszpanja, jeśli zwycięży. My jedni nie wiedzieliśmy, jak się zachować, bo znieruchomiała postawę rozdwojona głowa ludzi planujących. Naród nie mógł się zdobyć na pełnię wyrazu.

Co robić w tych warunkach z prasą? I tu kłopotliwe jej położenie, bo ludziom akcji i planowania wydawać się może, że walczy ona o prawo plotki i oszczerstwa. Tak nie jest. Chodzi o to, że proces funkcjonowania opinji publicznej nie może być uzależniony od swobodnego uznania czynników administracji. Cywilizacja europejska wynalazła już dawno na prasę sposób i utrwaliła go w konstytucjach — sądy. Niech plotka i oszczerstwo będą surowo karane, niech będzie nawet deportacja, ale *neminem captivare nisi jure victum.*

Państwo nieoparte mocno na wierze w prawo

ma tak ciężką drogę przed sobą, jak automobil na drodze abisyńskiej. Tankiem opancerzonym daleko nie zajedzie. Trzeba jakoś wyrównać tę drogę przez sharmonizowanie wysiłku państwowego z siłą popędową narodu. Jedynem lekarstwem na chorobliwy kompleks pozanarodowej racji stanu byłoby zrezygnawanie z genjalności improwizowania życia na rzecz praworządności. Prawo, jak brom, uspokoiłoby zrewolucjonizowane nerwy.

Doświadczenie lat dziesięciu przekonać mogło, że kręcimy się w błędnem kole bez możności znalezienia „frontu", poprostu daremnie szukamy drogi. Wymyślamy sobie od świń z powodu wyrazu „podobno", ale w jaki sposób w tych warunkach twierdzić coś napewno o akcji i planowaniu, gdy świat zasnuty jest mgłą tajemnic konspirowanych przed opinją publiczną.

Jeżeli zaś chodzi o kłamstwa, to proszę wskazać w dziejach okres podobny, jak ten legendowy okres sanacyjny, w którym z założenia samego prawda historyczna byla odwrócona i konsekwentnie cała rzeczywistość przebudowywana na potrzeby legendy. Wyrażałem w tem miejscu niejednokrotnie podziw wobec kunsztu i bezceremonjalności, z jaką kłamstwo, podnoszone do znaczenia systemu, narzucane było społeczeństwu. Ludzie słabsi charakterem lub zupełnie bezbronni, żeby się dostosować do systemu, uciekają się też do kłamstwa i z wyścigu lojalności powstaje wyścig kłamstwa. Trzeba być bardzo niewybrednym etycznie, aby tym systemem się rozkoszować, dziwić się opozycji i łudzić się, że represjami wytępi się wszelką chęć dochodzenia prawdy.

Przytaczałem wyżej przykład 15 sierpnia, ale weźmy dzień 6 sierpnia, kiedy to p. Miedziński przez usłużne Radio wygłosił świadomie kłamliwy wykład o tem, że poza garstką radykalnej młodzieży nikt w kraju przed wojną nie pożądał niepodległości Polski. Było to nietylko kłamstwo, ale oszczerstwo i to wysoce szkodliwe pod względem politycznym. „Kur. Poranny", jak widać z przytoczonego artykułu, drażliwy jest na wszelkie dotknięcia osobiste, ale nie pomyśli o krzywdzie, jaką się wyrządza daleko poważniejszej egzystencji, bo narodowi i kierownikom jego życia duchowego, gdy się „planuje" całą szkołę fałszowania historji. P. Miedzińskiemu nikt nie zagrozi Berezą, owszem spotkają go pochwały, nagrody.

Kłamstwo stało się systemem i nałogiem. Wystarczy przeczytać choćby to, co piszą publicyści w „Kur. Porannym" — tam każde słowo trzeba czytać na opak, żeby wyrozumieć stosunek jego do rzeczywistości.

— — — — — — — — — — — —

Rzecz oczywista, gdy organy, temu systemowi hołdujące, zaczynają propagować hasło Berezy w zastosowaniu do prasy, pogróżką tą muszą się czuć dotknięci przedewszystkiem publicyści, którym zależy na dochodzeniu prawdy. Prawdą dla nas publicystyczną jest dobro narodowe. Kombinowany system kłamstwa powstał na to, aby eksperymentować w Polsce przy pomocy kryterjów pozanarodowych. Domagają się szukania tych innych sposobów żydzi i masonerja. Stąd moda na materjalizm dialektyczny bolszewicki, stąd udział w życiu publicznem ludzi, opętanych kompleksem autoryzowanej rewolucyjności. Ten kabotynizm rewolucyjny wywracania pojęć stał się sportem sfer od systemu tego uzależnionych, deprawuje ideologję młodszego pokolenia, nie zdającego sobie sprawy, że do niepodległości doszło się ciężką pracą wewnętrzną duszy polskiej. Snobizm ten dezorjentuje biurokrację, która przecież nie może pracować normalnie bez światła narodowego. Niechżeby się to udzieliło kadrom jeszcze ściślej organizowanym! Strach pomyśleć.

Każdy uczciwy i przytomny rozumieć powinien jeśli nie własną logiką, to na przykładach które dziś obserwuje na świecie, że te niewinne napozór sporty wywracania pojęć są wstępem do walki o cywilizację, która jest tworem i własnością ducha narodowego.

Świadomi rzeczy dziejowej dziennikarze, dumni z tradycji publicystyki polskiej, która ideał życia polskiego ratowała z beznadziejności wieku XIX, muszą reagować we własnem państwie na takie stawianie sprawy, że prawdę od nieprawdy w publicystyce rozstrzygać będzie swobodne uznanie czynników politycznych, zwłaszcza muszą protestować przeciwko temu, aby inicjatywa w tym kierunku wychodziła z łona prasy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

Pisane 22.VIII.

GŁOSY

W NIEDŁUGIM CZASIE MA PODOBNO POWSTAĆ OBÓZ PRORZĄDOWY. Piszemy „podobno", gdyż wszystko dotychczas obraca się w sferze domysłów i plotek politycznych, jak zresztą od lat dziesięciu... Kiepski to byłby początek, któryby w tem przypominał system dostatecznie już chyba zdepopularyzowany.

A rzecz w tem, że trzeba właśnie zmienić atmosferę i odciąć się od tego, co bynajmniej nie pobudza do entuzjazmu. Potrzeba idej oraz ludzi, którzyby te ideje potrafili w życie wprowadzić.

P. Miedziński nazwał siebie niedawno nacjonalistą. W tem powiedzeniu było jakby uchylenie rąbka koca. (Wszystko jest jeszcze dotychczas mocno nim okryte). Trzeba wiedzieć, że słowo „nacjonalizm" nie wystarcza, że potrzebna jest treść tego słowa, a treść ta jest głęboka, bo sięga do pokładów regulujących nasz stosunek do najważniejszych zagadnień życia. My chowani właśnie w nacjonalistycznej szkole wiemy, jakim przeobrażeniom ulega myśl narodowa, chociaż się tyczy zjawiska które trwać będzie po wieki — Polski. Obawiamy się właśnie opóźnionej koncepcji, chociaż może w intencji jaknajbardziej szczerej.

Nowy obóz ma podobno mieć w swym programie akcenty antysemickie. Obawiamy się mocno, że będą to tylko akcenty nie sięgające dalej ponad oświadczenie p. premiera, w praktycznem życiu nie mające żadnego oddźwięku i skutków. Jeśli chodzi o kwestję żydowską w Polsce, to ta dojrzała tylko do radykalnego jej rozwiązania. Wzywania do bojkotu ekonomicznego już nie wystarczą. Obawiamy się i tutaj również koncepcji opóźnionej.

Obawiamy się wreszcie i opóźnionych sposobem myślenia ludzi. Trudno przesądzić dzisiaj, kto będzie obóz ten tworzył. Podobno (znowu „po-

dobno"!) ma się on oprzeć na związkach kombatanckich. My wiemy napewno, że i na urzędnikach, oraz tych wszystkich, którzy są od rządu a zwłaszcza jego kas uzależnieni. Nie stanowi to dobrej wróżby; element oportunistyczny nie imponuje i nie porywa.

Mniejsza zresztą o podłoże, o tych co będą w pozycji „szerokich mas"—chodzi o przywódców.

Trzeba, powiadamy, ludzi, którzyby potrafili ideję w życie wprowadzić. Stara kadra nie potrafi, zwłaszcza iż zaciąga się w jej szeregi sporo elementu od którego naród zdecydowanie się odsuwa. W ubiegłą np. niedzielę odbył się w Warszawie zjazd „Kadry Działaczy Chłopskich" w którym brało udział dwudziestu czterech byłych posłów, tych, którzy kandydowali w ostatnich „niemych" wyborach no i... przepadli. Znamy dobrze ten rodzaj ludzi. Oni to mają pobudzać entuzjazm?

Jak widać, oddzielanie się murem od narodu dało ten rezultat, że się nie rozumie dążeń i ambicyj tego narodu, że się nie rozumie jego ducha, tych przemian doniosłych, a dalekich od pustych, bezdźwięcznych hurra-pokrzykiwań. Obawiamy się, że po wzory „państwa autorytatywnego" sięgnięto przedewszystkiem zagranicę a nie do przemyśleń z własnej cywilizacji poczętych, o wiele bardziej dojrzałych aniżeli gdzieindziej. Nie możemy popełniać błędów jakie towarzyszyły tworzeniu konstytucji 17-go marca, kiedy to zlepiano w jedną całość „najlepsze" kąski wybrane przez politycznych znawców-smakoszów z innych konstytucyj. Nie można tworzyć dzieł, które w zasadzie trwałym bytem być mają, pod kątem chwilowego efektu. Nie znaczy to, wszakże, ażeby nie doceniać znaczenia chwili i jej formy. Rzecz w tem, że narodowe tworzenie ma wartości wieczne na względzie a szuka dla nich najbardziej współczesnego kształtu. Ale — powtarzamy — najbardziej współczesnego. Dreptanie o pół kroku w tył może już przynieść duże rozczarowanie. A na tym gatunku uczucia nic zbudować nie można. Należy się więc go ustrzec. Zadanie trudne. Bardzo trudne. Dla pewnego gatunku ludzi wręcz niewykonalne.

ODBYŁY SIĘ WSPOMINKI „CUDU NAD WISŁĄ". Cud ten był niczem innem, jak wynikiem entuzjazmu, zdolnego przemienić wielką klęskę w zwycięstwo, decydujące o losach nietylko Polski, ale całej Europy. Uroczystości te nie powinny zakończyć się obchodami, lecz winny znaleźć potężne echo we wszystkich sercach, tak polskich jak i obcych.

Dziś, gdy narody całego świata stają do groźnej walki z bolszewizmem, trzeba by jasno rozumiały, iż właśnie Polska pierwsza rozpoczęła te zapasy gigantyczne, iż pierwszym warunkiem ich własnego zwycięstwa był ten pamiętny rok 1920-y w dziejach Polski. Dlatego należałoby im o tem mówić, pisać, faktami dokumentować. Tymczasem w tym kierunku nie czyni się absolutnie nic. Wystarczy przeglądać pisma, książki, jakie pojawiają się o Polsce zagranicą, aby się o tem przekonać. Pojęcie o nas na Zachodzie wytwarza się zgoła fantastyczne. Gdy weźmiemy do ręki książki niemieckie o Polsce, jak von Oertzen'a *„Alles oder nichts"*, von Koitz'a *„Männer um Piłsudski"*, Adler'a *„Polen"* i inne, widzimy, iż książki te (pisma również), mówią o jakimś kraju nieistniejącym.

A jakże w audycji niemieckiej, nadawanej przed rokiem, oświetlony został właśnie ten rok 20-y? Któżby z nas go poznał? Tak poinformowani są o nas sąsiedzi najbliżsi, cóż dopiero mówić o dalszych! A któż wie cośkolwiek o obronie Lwowa w roku 19-ym?

Nie chodzi jednak tylko o zagranicę, także o nas samych. Jakże mało wiemy o wypadkach, które przeżywaliśmy sami! Oficjalne koła starają się uczynić z nich już historję, to znaczy zamknąć w muzealnych gmachach, otwierać je raz na rok, aby w sposób konwencjonalny i chłodny pokłonić się sztywno przed bohaterstwem polskiem. A ogół już odchodzi od tych chwil, poświęcając im zaledwie parę krótkich wspomnień. Stanowczo za mało znamy te dzieje, tak wielkie i tak przecież bliskie.

Jak wielu jest ludzi np., którzy na dźwięk nazwiska Czesława Mączyńskiego, pytają „kto to był?" Ale bierzmy nazwiska najpopularniejsze. Rotmistrz Pogonowski? Ksiądz Skorupka? Co o nich wiemy? Czy wiadomo nam, jakiemi szli drogami do miłości najwyższej ojczyzny, której w chwili niebezpieczeństwa oddali bez wahania życie? Jak żyli, jak kształtowała się ich dusza? A inni? Tylu, tylu, za wielu bezimiennych? Te dzieci, które wyszły z Warszawy 15-go sierpnia, aby do niej nie powrócić? A Orlęta Lwowskie? Ludzie ci już zasnuwają się mgłą, przestają być realni. A przecież Obrona Lwowa, obrona Warszawy, muszą być wiecznie żywe, wiecznie przytomne pamięci młodych pokoleń polskich. I bohaterstwo polskie tych lat, jak wielki słup płomienny stać powinno ciągle przed oczyma Europy. Trzeba wydobyć wszystkie błyski tej wielkiej chwały narodu i ukazać je całemu światu.

Sprawa ta, ogromnej wagi, aktualna jest i aktualna będzie ciągle, ale w dniach sierpniowych narzuca się z nieodpartą siłą. Bez zwłoki rozpocząć musimy wielką pracę: wydawajmy przystępne broszurki o latach 19-ym i 20-ym, tłumaczmy je na języki obce, organizujmy odczyty, informujmy prasę zagraniczną. Nie marnujmy lekkomyślnie bezcennego skarbu, jaki Polsce ofiarowali najlepsi jej synowie w zaraniu swego życia. Żyjmy ich życiem, gdyż obcowanie z duchami poległych bohaterów, budząc wiarę, entuzjazm, może w dzisiejszych tragicznych zmaganiach Polski mieć znaczenie decydujące. (A. N.)

OD WYDAWNICTWA

Upraszamy zamożniejszych przyjaciół „MYŚLI NARODOWEJ", aby zechcieli poza prenumeratą zasilać FUNDUSZ PRASOWY pisma.

Wobec wyniszczenia ekonomicznego sfer oświeconych obozu narodowego i bojkotu wydawnictw narodowych, polska prasa ideowa musi odwoływać się do społeczeństwa o zasilenie funduszu wydawniczego. Pamiętać należy o tem, że prasa sanacyjna i filosemicka (liberalna, socjalistyczna i bolszewicka) ma oparcie w potężnych subsydjach.

Przesyłki pieniężne dla „Myśli Narodowej" należy wysyłać na jej konto w P. K. O. nr. 3.105.

NAUKA i LITERATURA

LUDZIE W ROZTERCE

„LUDZIE W ROZTERCE"[1]) to mianowicie młode pokolenie budzących się Chin, postawione między bezużytecznym już potrosze balastem skostniałej tradycji a twardemi wymaganiami nowego życia.

Zgóry już można było przewidzieć, że potomkowie Wanga Lunga, rolnika znajdą się z czasem w mieście, a dzieje rodu wykroczą poza macierzystą warstwę. Ten etap „sagi rodu Wangów" staje się najciekawszy — poprzednie („Błogosławiona ziemia" i „Synowie") malowały przeszłość: dopiero teraz jednak dowiemy się czegoś niebałamutnego o Chinach przyszłości. Obraz, trzeba przyzneć, barwny i pełny.

Bo oto młody Wang Yuan kolejno poznaje przeróżne środowiska i okolice kraju — od feodalnego dworu ojcowskiego na północy kraju poprzez stolicę Południa aż do nowoczesnych, tętniących od mrowia ludzkiego, miast portowych — ażeby w końcu, w ciągu sześcioletniego pobytu na studjach rolniczych w Ameryce zdobyć wiedzę i potrzebne doświadczenie.

Yuan, choć różni się od swych przodków większem wyrafinowaniem uczuciowem i kulturalnem, jednak jest do nich w wielu rysach podobny. Wtedy mianowicie, gdy do głosu dochodzą, silniejsze nad wszystko, atawizmy: miłość rodu, ogniskująca się w posłuszeństwie względem ojca, z trudem w duszy wywalczanem, i w żywiołowej miłości ziemi, uczuciu tak pierwotnem i prostem, jak potężne są instynkty rolnicze, drzemiące w ludach, nie wyrwanych z korzeniami z rodzimej gleby.

Temat cyklu powieściowego angielskiej autorki staje się dziś niezmiernie interesujący ze względu na szerokie, w światowej skali aspekty społeczne, takie, jak zagadnienie przyszłości i odrodzenia starych ras azjatyckich oraz sprawa odrębności plemiennych, stających częstokroć na przeszkodzie miłości dwojga zgranych pozatem osób. Nie jest też dla nas obojętne, co się dzieje w centrum odległego kontynentu, ważne są zachodzące tam przemiany; budzi ciekawość, graniczącą z niepokojem, przyszłość młodego pokolenia Chin, w równym może stopniu, jak horyzonty, ścielące się przed młodemi Włochami czy Niemcami.

Ich ciężar gatunkowy bowiem, serc i umysłów, wpłynie w pewien określony sposób na jakość konglomeratu narodów i społeczeństw, zdolnych wykrystalizować z siebie duchową i kulturalną jednię — lub też cofnąć dzieje świata do stanu pierwotnego chaosu.

W portowem mieście, gdzie upływa znaczna część młodości Yuana, wre bujne, gorączkowe życie. Na wierzchu, jak piana, mieni się i gra wielobarwne życie lekkomyślnej młodzieży, tak podobnej do siebie pod każdą szerokością geograficzną. Widzimy tam studentów i poetów, młode, rozbawione dziewczęta, otoczone chmarą wielbicieli. Całe towarzystwo mocno już zmodernizowane, powiedzmy, kosmopolityczne. A pod nimi lub mimo nich rosną tymczasem kadry rewolucji narodowej i reformatorów zacofanego społeczeństwa. Wreszcie — niziny, doły społeczne: szarobłękitne masy kulisów, rikszów i żebraków, przekupniów i trędowatych, pogardzane i upośledzone.

Wrażliwa wyobraźnia młodego Yuana żywo reaguje na biedę i ciemnotę, stąd też wiele nici sympatji i zrozumienia łączy go z rewolucjonistami, cóż kiedy i wizja dawnych Chin uparcie tkwi w pamięci, nie pozwalając zerwać ostatecznie ciążących oddawna związków z rodzinną galerją ponuro groteskowych figur z archaicznego „państwa środka".

Wyższą, harmonijną prawdę odnajduje bohater nowych czasów, dzielny później i światły pracownik na niwie oświaty, w syntezie zespalającej dwa pokolenia przełomu. Natchnieniem staje się dlań uczucie, łączące go z bliską mu krwią i instynktami dziewczyną oraz serdeczny stosunek do ziemi rodzinnej — to wszystko podtrzyma go psychicznie nawet w obliczu gromów, bijących w dach rodzinnego domu, w chwili skonu ojca, starego wodza, Wanga Tygrysa.

W świetnym przekładzie p. Ludwiki Ciechanowieckiej bardzo rzadko tylko natrafić można na usterki, płynące ze zbyt pobieżnego wczucia się w krajobraz głębokiej wsi.

ST. J.

[1]) Pearl S. Buck: „Ludzie w rozterce". Z upoważnienia autorki przełożyła Ludwika Ciechanowiecka. Warszawa 1936. Towarzystwo wydawnicze „Rój". Cena zł. 7. Str. 361.

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

W ostatnim zeszycie „Tęczy" (sierpień), popularnego miesięcznika literackiego, wydawanego w Poznaniu, znajdujemy bardzo interesujący szkic prof. Stanisława Pigonia p. t. „Idea społeczna i religijna w poezji Jana Kasprowicza". W szeregu artykułów, które w tym czasie ukazały się w prasie ku uczczeniu dziesiątej rocznicy śmierci poety, jest to praca wyróżniająca się syntetycznością. „Jak ogień, jak woda, był ten twórca"—pisze Pigoń—„przejawem jakiejś siły, huczącej w łonie ludzkości i wybuchającej raz po razu przez kratery twórczości artystycznej, siły buntu, ale i siły stwarzania. Był wykładnikiem nieugaszonej, wciąż trawiącej ludzkość, tęsknoty do wyjścia poza człowieka, do sięgania w zenity i nadiry, w rzeczy pierwsze i ostateczne, w przepaści dobra i zła, w Boga i szatana. Twórczość jego nie traci nigdy perspektyw kosmicznych, nieskończonych, jest lotem do źródła istnienia i losu. W tem znaczeniu jest to poeta najistotniej religijny, druh Eschylosa, Dantego, Goethego, Byrona, Mickiewicza".

Skoro notujemy prof. Pigonia, należy przy sposobności zapisać wartościowy jego artykuł w „Kurjerze Poznańskim" (nr. 388) „Marksizm szaleje w Naprawie". Jest tam mowa o miesięczniku literacko-społecznym, który w tej wiosce redagują komunizujący pisarze „ludowi".

*

W kołach towarzyskich Nałęczowa, dość ożywionych w tegorocznym sezonie letnim, wznowiono myśl sprowadzenia zwłok Stefana Żeromskiego do nałęczowskiego mauzoleum, gdzieby spoczęły obok trumny syna Adama. Jak słychać, upewniono się, że władze kościelne nie będą temu przeciwne. Myśl godna ze wszech miar poparcia.

*

Dowiadujemy się, że p. premjer gen. Sławoj-Składkowski, interesujący się sprawami kultury ziemi kieleckiej jako były wychowaniec szkół tamtejszych, ofiarował zł. 500 na potrzeby Muzeum regjonalnego im. Stefana Żeromskiego. Muzeum to, istniejące w Kielcach od lat szeregu, zbogaciły świeżo zbiory po wystawie Świętokrzyskiej.

*

Pragnąc zwrócić uwagę społeczeństwa na książkę, jako na jeden z ważniejszych czynników oświaty i kultury, Związek Księgarzy Polskich ogłosił konkurs poetycki na wiersz o książce. Rozmiar i rodzaj wiersza dowolne. Nagrody trzy: I—100 zł., II—75 zł., III—50 zł.

Utwory nagrodzone stają się własnością organizatorów konkursu.

Wiersze, nadesłane na konkurs winne być opatrzone godłem. Godło to winno być powtórzone na zamkniętej kopercie, dołączonej do wiersza, a zawierającej imię, nazwisko i adres autora wiersza.

Co do wierszy nie nagrodzonych lecz wyróżnionych przez sąd konkursowy, organizatorzy konkursu zastrzegają sobie pierwszeństwo do ich nabycia.

Termin nadsyłania utworów konkursowych, pod adresem Związku Księgarzy Polskich, Warszawa, Chmielna 27, upływa z dniem 15-go października 1936 r. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w ciągu miesiąca od daty zamknięcia konkursu.

Skład sądu konkursowego będzie ogłoszony później.

ZMARLI

Ś. P. STANISŁAW NIEWIADOMSKI

ZMARŁ ś. p. Stanisław Niewiadomski. Ciężko zaniemógł w Niemirowie tak, że trzeba go było przewieść do jednej z lwowskich lecznic. Tam w swoim Lwowie życie zakończył. Może to i przypadek, że stało się wszystko w swojem mieście — my wszakże skłonni jesteśmy doszukiwać się w niespodziewanym tym powrocie ręki Opatrzności.

Niewiadomski, postać nieodłącznie związana z Warszawą, że bez niego trudno sobie wyobrazić stołeczne życie muzyczne, urodził się roku 1859-go w Soposzynie pod Żółkwią. Kształcił się we Lwowie, w Wiedniu i w Lipsku. W roku 1887-ym powraca do lwowskiego Konserwatorjum, ale już by nauczać. W roku 1917-ym powołany zostaje do Konserwatorjum Warszawskiego. W roku 1927-ym przechodzi na stanowisko dyrektora Instytutu Muzycznego, w roku wreszcie 1936-ym ostatecznie powraca do Lwowa...

Niewiadomski to jedno z najpopularniejszych w Polsce nazwisk. Popularność zdobył sobie swojemi pieśniami, znanemi wszędzie, śpiewanemi z upodobaniem. Jakie znaczenie miała kiedyś pieśń i jaką odegrała rolę! Pisałem już o tem nie raz jeden. Po próbach wypowiadania się w rozmaitych formach, pieśni oddał swe zdolności twórcze. Zostawił ich w dorobku około dwustu. Czy wymienić najbardziej znane? Nie trzeba — wszyscy je przecież potrafią wymienić.

Wsłuchując się w jego melodje, możemy już z góry powiedzieć, że w swojej pracy literackiej — a pisał wiele i polszczyzną dobrego gatunku — niemało miejsca poświęcić musiał Chopinowi i Moniuszce. Rzeczywiście dał ich monografie wnikliwe i w ocenie nadzwyczaj trafne. Sam należał do pokolenia, któremu stawiano zarzut, że nie wyzyskało należycie twórczości chopinowskiej. Niewiadomski czuł, że ostrze krytyki zwraca się w jego stronę. Odpowiadał, a w odpowiedzi była nuta usprawiedliwienia, wskazując na przykład Moniuszki, który miał swoją drogę, a był wielki, że szedł zaraz po Chopinie (klasyfikacji tej zawsze ś. p. Zmarły przestrzegał!) I Niewiadomski odnalazł swoją drogę, a wiodła ona w tym kierunku w którym i ulubionego Moniuszki. Rozumiał też dobrze twórcę „Halki" („Jeżeli ponad „Halkę" trudno sobie w Polsce coś popularniejszego pomyśleć; jeżeli swojskie jej, przystępne i wdzięczne melodje oddawna stały się własnością ogółu, zrósłszy się niemal z uchem każdego muzyka czy laika...") twórca „Jaśkowej doli".

Jego pieśni również są swojskie, przystępne i wdzięczne i również łatwo zrastają się z uchem każdego muzyka czy laika.

Nie dziwmy się słuchając ich, ostremu sądowi, którym artysta potępiał muzykę współczesną — nie dlatego, ażebyśmy sąd ten podzielali, ale dlatego, że jesteśmy pełni zrozumienia dla twórcy melodyj, odsądzającego od czci i wiary kierunek, który melodji poślednie wyznacza miejsce, inne wartości wysuwając na plan pierwszy.

Pracy publicystycznej Zmarły poświęcał wiele czasu. Redagował przez parę lat własną „Gazetę Muzyczną". Jeszcze dnia, który mu oczy zamknął na zawsze, ukazał się jego artykuł na szpaltach jednego z dzienników stołecznych. W dorobku pracy pisarskiej osobną pozycję stanowi tłumaczenie Hanslicka „O pięknie w muzyce".

Czynny do ostatniej chwili życia, tkwiący w tem życiu mocą posiadanego umiłowania pracy społecznej, za całokształt swej działalności na polu kultury muzycznej otrzymał w roku 1931-ym nagrodę Warszawy. Warszawa nagrodziła artystę jako kogoś bardzo swojego. Nie było w tem żadnego nieporozumienia. Niewiadomski bliski był stolicy, niezwykle bliski na długo przed rokiem, w którym został profesorem jej Konserwatorjum.

A jednak wrócił do Lwowa...

W. N.

W ROZMÓWNICY

CZY MYŚLENIE JEST PROCESEM AGLOTYCZNYM?

Od jednego z wybitnych literatów otrzymujemy notatkę następującą:

Prof. Tadeusz Zieliński, uczony filolog światowej sławy, pisuje także ciekawe fejletony w „Gazecie Polskiej". W tejże „Gazecie" z 12 sierpnia wydrukował artykuł p. t. „W jakim języku pan myśli". Artykuł został sprowokowany pytaniem, jakie uczonemu profesorowi postawiono przed 27 laty laty. Pytanie brzmiało: — „W jakim języku Pan myśli? — Profesor Zieliński odpowiedział: — W żadnym.

Widać wszakże, że to pytanie nurtowało go bardzo, skoro po 27 latach stara się szanowny profesor w fejletonie uzasadnić swą ongi daną odpowiedź, że nie myśli w żadnym języku, czyli że myślenie — według prof. Zielińskiego — jest procesem pozajęzykowym.

Myślenie jest nietylko procesem indywidualnym, jest również funkcją społeczną. Gdybyśmy milion dzieci zaraz po urodzeniu izolowali i nie nawiązali z niemi przez lat pięćdziesiąt żadnego kontaktu przy pomocy mowy, to wyrosłoby nam milion pięćdziesięcioletnich imbecilów. Mowa jest czynnikiem społecznym, tworzącym i kształtującym myśl; proces myślenia bez mowy byłby niemożliwy. Mowa wyprowadziła człowieka ze świata zwierząt na wyższy szczebel. Dzięki mowie człowiek osiągnął tak wysoki stopień rozwoju duchowego. Szan. prof. Zieliński, żeby nie przyznać, iż myśli w jakimś języku, wykoncypował „gwiazdkowo-mgławicową" teorję myślenia pozajęzykowego; to znaczy, że niema słów tylko są „gwiazdki" i „mgławice". Szanowny profesor przepomniał tylko jedno, że cały świat realjów i pojęć na które ma on odpowiednie słowa w tym czy innym języku, przedostał się do umysłu każdego z nas tylko i jedynie za pośrednictwem mowy (żywej, pisanej i t. p.). Dzięki mowie człowiek wydostał się z „myślenia" gwiazdkowo-mgławicowego istot niższych na poziom symboliki językowej ludzkiej. Myślenie zapomocą symbolów językowych stworzyło — człowieka.

Stanowisko autora notatki budzi pewne wątpliwości Prof. Zieliński dzieli proces na dwa etapy. Według niego zaród myśli jest rzeczowy, nie nazwany słowem. Dopiero gdy człowiek dzielić się ma myślą z innymi, wtedy ubiera myśl w słowo, dobierając je z tego słownictwa, w którem ma się wysłowić. Nie dotyka jednak kwestji, czy zdolność myślenia mogłaby powstać pozaspołecznie w stanie izolacji.

W każdym razie korzystamy z tej notatki, aby wywołać na ten temat dyskusję. Wdzięczni bylibyśmy znawcom psychologji, aby w tej sprawie wypowiedzieli się na łamach „Myśli Narodowej".

POKŁOSIE

OBLICZE BIUROKRACJI

SPRAWY stanu urzędniczego u nas dochodzą zwykle do wiadomości szerszej opinji w postaci zagadnień uposażeniowych i na tem polu urzędnicy, stan wcale dobrze zorganizowany, potrafili przez czas dłuższy utrzymać opinję dla siebie przychylną, powiedzenie o „nędzy urzędniczej” miało swój niedyskutowany walor. Ogólne zbiednienie społeczeństwa opinję tę zmieniło, gdyż niebawem stało się dla wielu, zwłaszcza na prowincji, a tembardziej na wsi jasne, że urzędnik jest w znacznie lepszem położeniu od przeciętnego obywatela. Skromne, zdawałoby się, uposażenie wyrosło nagle, a pewność i regularność tego dochodu stała się przedmiotem zazdrości i marzeń podatników. Spadające ceny, źródło utrapienia rolnika i każdego producenta, poprawiały oczywiście położenie ludzi żyjących, jak urzędnicy, ze stałego dochodu. Wprawdzie wysokość tych dochodów obniżano, ale jednak zostały one na wysokości naogół wcale niezłej, a w niektórych wypadkach czyniły ich posiadaczy prawdziwymi magnatami w ich otoczeniu. Bo jakże inaczej nazwać nauczyciela na wsi, który jest kierownikiem szkoły i razem z żoną, również nauczycielką, pobiera około 500 zł. miesięcznie. A w dodatku, ogół dowiedział się w końcu ubiegłego roku, że urzędnicy nie płacą od swych uposażeń podatku dochodowego; była to dla ogółu wiadomość zupełnie niespodziewana.

Dziś więc położenie materjalne urzędników nie jest już tak bezspornie uznawane za kiepskie, a stosunek jaki się wyrobił między administracją a społeczeństwem w ostatnich latach forsowania kultu państwa, rozumianego niejednokrotnie jako kult maszyny biurokratycznej, wzmocnił jeszcze krytyczne, niekiedy wprost nieprzychylne nastawienie opinji. Nawet w obozie rządowym zaczynają się zastanawiać nad pytaniem jak właściwie przedstawia się stan urzędniczy pod względem kwalifikacyj formalnych i moralnych. Początkowo oceniano ten stan dość pobłażliwie, oskarżając urzędników tylko o zbyt wielką ambicję, o wygórowane chęci uczenia i kierowania społeczeństwem we wszystkich dziedzinach. Teraz zaczyna się krytyka surowsza. Oto np. „Polska Zbrojna” zastanawiając się nad cenzusem wykształcenia urzędników dochodzi do wniosku, że:

„Odsetek osób z ukończonem wyższem wykształceniem wynosi: w instytucjach społecznych i państwowych 17%, w instytucjach samorządowych miejskich 10,8%, wiejskich 2,3%... Przytłaczającą większość urzędników państwowych i samorządowych stanowią ludzie o wykształceniu niżej średniego, a więc urzędnicy III kategorji, czasem II, dzięki hojnie przyznawanej przez władze wyższe t. zw. *„venia studiorum”*. Nawet wśród naczelników wydziałów w instancji I jest niewielu ludzi z dyplomami uniwersyteckiemi. Wygląda to tem dziwniej, że mamy przecie t. zw. „nadprodukcję inteligencji””.

Sprowadza to oczywiście fatalne skutki, bo „spraw nawet błahych nie można powierzyć do samodzielnego załatwienia pół czy ćwierć-inteligentom, skutkiem czego cała masa aktów spada codziennie na przełożonych wyższych”, oprócz tego „dorwanie się przez człowieka o wykształceniu niższem stanowiska referenta w starostwie, urzędzie skarbowym, czy wojewódzkim, wywołuje u niego bardzo często swoisty *„suporiority-complex”*, dziwne wyobrażenie, że znajdując się „po drugiej stronie okienka”, jest wyższym ponad nieuprzywilejowany tłum obywateli. Skutek jest dotkliwie wiadomy, a mianowicie szykanowanie t. zw. stron, robienie się „ważnym”—poprostu nos dla tabakiery. Sprawdzeniem tego twierdzenia jest znany ogólnie stan u nas, że z wyższym urzędnikiem znacznie jest łatwiej sprawę szybko załatwić i, jak się to mówi, dogadać, niż z „panem” referentem”...

Funkcjonowanie naszej maszyny biurokratycznej istotnie nasuwa bardzo daleko idące obawy. Niekompetencja ogromnej większości urzędników sprowadza niesłychany przerost formalistyki, pisaniny, nic dziwnego, że jak stwierdził to w sejmie p. wice-premjer Polska zużywa więcej papieru urzędowego, niż całe imperjum brytyjskie. A nie chodzi tu przecież tylko o sam koszt papieru i czasu, tylko o to, że u nas niewykształcona ani zawodowo, ani ogólnie, a nie licząca się z obywatelem i jego środkami, biurokracja przyoblekła wszystko w taką masę formalności, że załatwienie najprostszej sprawy staje się problemem, wymagającym rozmaitych podań, stempli, dołączania dokumentów i t. p. Wielu ludzi na myśl, że będą musieli załatwić coś w urzędzie, wyrobić sobie jakiś dokument, czy pozwolenie, ogarnia wprost panika.

Nie trzeba chyba tłumaczyć, że ten nadmiar formalizmu nie jest bynajmniej równoznaczny z doskonałem funkcjonowaniem maszyny, a przeciwnie jest najczęściej jej zaprzeczeniem. Nie potrzebujemy daleko szukać przykładów. Dość zapoznać się z naszemi przepisami meldunkowemi, i zestawić je ze stale po kilka razy dziennie powtarzającą się w kronice wypadków wzmianką: „nigdzie nie meldowany”. Jakim to sposobem może się dziać zapytujemy, przy tak ostrych i drobiazgowych wymogach meldunkowych? A piszącemu te słowa przypomina się fakt, że w dawnych czasach w Niemczech meldunek stanowiło napisanie ołówkiem na kartce imienia i nazwiska, daty i miejsca urodzenia i celu przybycia, bez imion ojców, matek i dziadków i innych informacyj, a mimo to policja wiedziała wszystko, czego potrzebowała i to nawet nietylko na swój użytek, bo gdy po kilkoletnim pobycie w Niemczech znalazłem się w śledztwie przed obliczem rosyjskiego rotmistrza żandarmów, to ten, jak się okazało, miał najdokładniejszy raport z Berlina o tem, jak się zachowywałem i odczytał z niego takie wydarzenia, o których ja sam już zapomniałem... Teraźniejsze Niemcy zniosły meldowanie przyjezdnych i okazywanie dokumentów, zachowując to tylko dla przybywających na czas dłuższy, a mimo to wiedzą też wszystko, czego potrzebują. U nas pomimo drobiazgowych formalności, w praktyce wszechwładnie panuje nieudolność.

Tak jest niestety w całej administracji i niewiadomo jak z tego gąszczu biurokratycznego wybrniemy.

ARGUS

NA MARGINESIE

Z „Aforyzmów i refleksyj” Feliksa Chwaliboga:

Największe bohaterstwa i ofiary nie zastąpią twórczej myśli i stałych, celowych wysiłków około dobra państwa i narodu.

*

Naród zdobywa się dopiero wtedy na własny styl, skoro pewne nakazy moralne wejdą w jego krew i działają jak popędy naturalne.

*

Godziny się wloką, dni przechodzą, miesiące biegną, lata lecą, a młodość i życie tylko się migną.

*

Niemądra ustawa podobna jest czasem do dziurawego mostu, którego, kto nie obejdzie, albo zginie, albo nogi połamie.

*

Ciężko żyć tam, gdzie nikomu nie pragniemy uścisnąć ręki, a czynimy to tylko dla zwyczaju.

*

Nie przez nienawiść do obcych narodów toczą państwa wojny, lecz przez miłość do cudzych posiadłości.

*

Prawo mówi: oddaj coś winien, a ustawa może powiedzieć: zwróć jedną setną pożyczki, a pozbędziesz się długu.

*

Lekceważymy tych, którzy nie mogą niczem nam być pomocni, ale nabieramy dla nich szacunku, skoro pokażą, że potrafią nam zaszkodzić.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.